

# List z Rzymu (1884)

written by Święty Jan Bosko | 1 lipca, 2024

*W 1884 r., podczas pobytu w Rzymie, na kilka dni przed powrotem do Turynu, ksiądz Bosko miał dwa sny, które zapisał w liście wysłanym do swoich ukochanych wychowanków na Valdocco. Jest on znany jako "List z Rzymu" i jest jednym z najczęściej studiowanych i komentowanych tekstów. Proponujemy pełny, oryginalny tekst do przeczytania.*

*Moi najdrożsi synowie w Jezusie Chrystusie!*

Czy jestem blisko, czy daleko, zawsze myślę o was. Jedynym moim pragnieniem jest widzieć was szczęśliwymi teraz i w wieczności. Ta myśl i to pragnienie skłoniły mnie do napisania wam niniejszego listu. Przeżywam, moi drodzy, bardzo ciężko tę rozłąkę z wami i to, że nie mogę was widzieć ani słyszeć sprawia mi wielką przykrość, której nawet nie możecie sobie wyobrazić. Dlatego już przed tygodniem chciałem do was napisać, ale nawał zajęć na to mi nie pozwolił. Chociaż więc niewiele dni pozostaje do mojego powrotu, pragnę uprzedzić to moje przybycie do was przynajmniej listownie, nie mogąc uczynić tego jeszcze osobiście. Są to słowa tego, który kocha was serdecznie w Jezusie Chrystusie i poczuwa się do obowiązku mówić do was swobodnie jak ojciec, I myślę, że wy mi na to pozwolicie, prawda? Przyjmiecie z uwagą te moje słowa i wprowadzicie w czyn to, co wam napiszę.

Powiedziałem, że myśl moja jest stale i wyłącznie zajęta wami. Otóż któregoś z minionych wieczorów udałem się do pokoju i przygotowując się na spoczynek, zacząłem odmawiać modlitwy, jakich mnie nauczyła jeszcze moja droga mama. Nagle, nie wiem dobrze, czy się zdrzemnąłem, czy też popadłem w jakieś roztargnienie, zdawało mi się, że zjawili się jakoby przede mną dwaj dawni wychowankowie z Oratorium. Jeden z nich zbliżył się do mnie i pozdrowiwszy mnie serdecznie, powiedział:

- O, Księżu Bosko! Czy Ksiądz mnie poznaje?
- Oczywiście, odrzekłem, że cię poznaję.
- A czy Ksiądz jeszcze sobie mnie przypomina? - dodał.

- Ciebie i wszystkich innych. Ty jesteś Valfre i byłeś w Oratorium przed rokiem 1870.

- Proszę mi powiedzieć, ciągnął tenże, czy chciałby Ksiądz zobaczyć chłopców, którzy byli wtedy w Oratorium?

- Tak, pokaż mi ich, odpowiedziałem, sprawi mi to wielką przyjemność.

Wówczas Valfre ukazał mi wszystkich chłopców z tamtych czasów, takich, jakimi wówczas byli, tego samego wzrostu i wieku. Zdawało mi się, że jestem w dawnym Oratorium w czasie rekreacji. Był to widok pełen życia, ruchu i wesołości. Jedni biegali, inni skakali lub pomagali skakać drugim. Tu bawiono się w harce, tam w chorągiewkę lub w piłkę. W jednym miejscu gromadka chłopców otaczała księdza, zasłuchana w opowiadanie jakiejś historyjki. Gdzie indziej kleryk zabawiał inną grupę chłopców grą w latającego osła i innymi sztuczkami. Zewsząd śpiewy, wrzawa, a wszędzie klerycy i księża w otoczeniu chłopców, którzy pokrzykiwali radośnie. Widać było, że między chłopcami a przełożonymi panowała jak największa serdeczność i zaufanie. Gdy z zachwytem przypatrywałem się temu widokowi, Valfre powiedział mi:

- Widzisz, duch rodzinny rodzi miłość, a miłość budzi zaufanie, które otwiera serca i chłopcy bez obawy zwierniają się ze wszystkim przed nauczycielami, asystentami i przełożonymi. Stają się szczerzy w spowiedzi i poza nią i gotowi spełnić wszystko, co im poleci ten, którego miłości są pewni.

W tym momencie zbliżył się do mnie inny dawny wychowanek, mający śnieżnobiałą brodę i zapytał:

- Księżę Bosko, czy zechciałby Ksiądz poznać i zobaczyć chłopców, którzy obecnie przebywają w Oratorium? (Był to Józef Buzzetti).

- Bardzo chętnie, odpowiedziałem, gdyż mija już miesiąc, jak ich nie widzę. I ukazał mi ich.

Zobaczyłem Oratorium i was wszystkich na rekreacji. Nie było już słyhać radosnej wrzawy ani śpiewów i nie widziało się już ani tego ruchu ani życia, jak w poprzednim obrazie. W ruchach i na twarzy wielu chłopców znać było nudę i zniechęcenie, zadasanie i nieufność, co mnie bardzo zmartwiło. Widziałem wprawdzie wielu, którzy biegali i bawili się beztrosko, lecz tylu innych stało

samotnie, oparci o filary, oddani posepnym myślom; drudzy błakali się po schodach, korytarzach lub tarasach od strony ogrodu, aby nie brać udziału we wspólnej rekreacji; inni zaś przechadzali się grupkami wolnym krokiem i rozmawiali ze sobą półgłosem, spoglądając wkoło podejrzliwie i złośliwie, wybuchając czasem śmiechem, któremu towarzyszyły spojrzenia takie, że nie tylko można było przypuszczać, ale być pewnym, że św. Alojzy musiałby się zarumienić, gdyby się znalazł w ich towarzystwie; również wśród bawiących się niektórzy byli tak znudzeni, że było wyraźnie widać, że nie znajdują żadnej przyjemności w tych rozrywkach.

- Czy widzi Ksiądz swoich chłopców? - zagadnął mnie dawny wychowanek.

- Widzę ich, odrzekłem z westchnieniem.

- Jakże bardzo różnią się od tych, jakimi my byliśmy swego czasu! - zawołał ów dawny wychowanek.

- Niestety. Co za ociążałość w tej rekreacji!

- Tu właśnie jest powód oziębłości u wielu w przystępowaniu do sakramentów świętych, zaniedbywania praktyk pobożności w kościele i poza nim, niechętnego przebywania w miejscu, gdzie Opatrzność Boża obsypuje ich wszelkimi darami dla ciała, dla duszy i umysłu; tu tkwi przyczyna, że wielu nie idzie za głosem powołania, stąd też wywodzi się niewdzięczność wobec przełożonych, stąd tajemnicze zmywy i szemrania ze wszystkimi innymi przykrymi następstwami.

- Rozumiem, pojmuję, odpowiedziałem. Lecz jakim sposobem można by tchnąć nowego ducha w tych moich drogich chłopców, aby im przywrócić dawną żywość, wesołość i wylewność?

- Miłością!

- Miłością? Lecz czyż moi chłopcy nie są dość kochani? Wiesz przecież, jak bardzo ich kocham. Wiesz, ile dla nich wycierpiałem, czego nie zniosłem w ciągu długich czterdziestu lat oraz ile znoszę jeszcze teraz. Ile trudów i upokorzeń, ile przeciwności i prześladowań zniosłem, aby im zapewnić chleb, mieszkanie, nauczycieli, a zwłaszcza w trosce o zbawienie ich dusz. Zrobiłem wszystko, co mogłem i potrafiłem zrobić dla tych, którzy stanowią jedyne umiłowanie mojego życia.

- Ja nie mówię o Księdzu!
- A więc o kim? Może o tych, co mnie zastępują? O dyrektorach, prefektach, nauczycielach, asystentach? Czy nie widzisz, że są to męczennicy nauki i pracy? jak zdzierają swoje młode lata dla tych, których im Opatrzność powierzyła?
- Wiem i znam to, ale to nie wystarcza, potrzeba czegoś ważniejszego.
- Czego więc potrzeba?
- Żeby chłopcy nie tylko byli kochani, ale żeby oni sami poznali, że są kochani.
- A czyż nie mają oczu? Nie mają światła rozumu? Czyż nie widzą, że to wszystko, co się dla nich czyni pochodzi z miłości?
- Nie, powtarzam, to nie wystarcza!
- Czegóż więc jeszcze potrzeba?
- Trzeba, aby czując, że są kochani w tym, co im sprawia przyjemność, i widząc, że się uczestniczy w ich młodzieńczych upodobaniach, nauczyli się dostrzegać miłość również w sprawach, które z natury mniej się podobają, jak: karność, nauka, umartwienie samych siebie; i te rzeczy powinni się nauczyć wykonywać z miłością.
- Wytlumacz to lepiej!
- Proszę przypatrzeć się chłopcom na rekreacji.
- Przyglądnąłem się, a potem odparłem: i cóż szczególnego jest tam do zauważenia?
- Tyle lat wychowuje Ksiądz chłopców, a nie może pojąć? Proszę przypatrzeć się lepiej! Gdzie są nasi salezjanie?

Przyjrzałem się i zauważyłem, że za mało kleryków i księży znajdowało się wśród chłopców, a jeszcze mniej brało udział w ich zabawach. Przełożeni nie byli już duszą rekreacji. Większość z nich przechadzała się, rozmawiając ze sobą i nie zwracano uwagi na to, co czynią wychowankowie; drudzy przypatrywali się rekreacji, ale nie ujawniali najmniejszej troski o chłopców; inni czuwali nad nimi z dala, nie zwracając jednak uwagi tym, którzy popełniali jakieś wykroczenia; ktoś

tam upominał ich, ale z miną surową i to jeszcze rzadko. Było też kilku salezjanów, którzy chcieli się przyłączyć do jakiejś grupy, lecz spostrzegłem, że ci chłopcy umyślnie starali się unikać nauczycieli i przełożonych.

Wówczas mój przyjaciel podjął rozmowę:

- Czy w dawnych czasach w Oratorium nie przebywał Ksiądz stale wśród chłopców, a zwłaszcza w czasie rekreacji? Pamięta Ksiądz te piękne lata? Był to okres rajskiego szczęścia, czas, który zawsze mile wspominamy, ponieważ właśnie miłość była regułą naszego życia, a my nie kryliśmy żadnych tajemnic przed Księdzem.

- Tak to prawda! Wówczas wszystko było dla mnie radością, a chłopcy z zapałem zbliżali się do mnie, by ze mną porozmawiać, z żywym pragnieniem wysłuchać moich rad i stosować je w praktyce. Dziś jednak, jak widzisz, ciągłe posłuchania, różnorakie zajęcia i moje zdrowie już mi na to nie pozwalają.

- Dobrze. Lecz jeśli Ksiądz nie może, dlaczego salezjanie nie starają się Księdza naśladować? Dlaczego Ksiądz nie nalega, nie wymaga, by odnosili się do chłopców tak, jak Ksiądz się do nich odnosił?

- Ja mówię, zrywam płuca, lecz niestety, wielu nie umie się zdobyć na takie trudy jak dawniej.

- I tak, zaniedbując to, marnują to, czyli swe własne trudy. Niech polubią to, się podoba chłopcom, a wtedy oni polubią to, co się podoba przełożonym. W ten sposób ich trud stanie się łatwiejszy. Przyczyną obecnej zmiany w Oratorium jest to, że pewna liczba chłopców nie ma zaufania do przełożonych. Dawniej serca były otwarte przed przełożonymi, których chłopcy kochali i słuchali chętnie. Lecz dzisiaj przełożonych uważa się za przełożonych, a już nie za ojców, braci i przyjaciół; dlatego chłopcy boją się ich i mało ich kochają, jeśli się pragnie stworzyć jedno serce i duszę jedną ze względu na miłość Chrystusa, to trzeba przełamać tę zgubną barierę nieufności i zastąpić ją serdecznym zaufaniem. Posłuszeństwo niech tak kieruje wychowankiem, jak matka prowadzi swoje dziecko, a wtedy w Oratorium zapanuje pokój i dawna radość.

- Cóż więc robić, aby przełamać tę barierę?

- Serdeczność z chłopcami, zwłaszcza na rekreacji! Inaczej nie okaże się

chłopcom miłości i nie zdobędzie się ich zaufania. Kto chce być kochanym, musi dać poznać, że sam kocha. Jezus Chrystus stał się małym z maluczkimi i dźwigał nasze słabości. On jest nauczycielem serdeczności. Nauczyciel widziany jedynie na katedrze, jest tylko nauczycielem i niczym więcej; lecz jeśli przestaje z chłopcami na rekreacji, staje się niejako bratem. Jeśli się widzi kogoś przemawiającego z ambony, mówi się, że spełnia jedynie swój obowiązek; lecz jeśli powie jakieś słowo na rekreacji, będzie to słowo kogoś, kto miłuje. Przyczyną iluż to nawróceń były słowa szepnięte niespodziewanie w czasie przerwy! Kto wie, że jest kochany, kocha, a kto jest kochany, uzyska wszystko, zwłaszcza od młodzieży. Zaufanie wytwarza jakby prąd elektryczny, który przechodzi między chłopcami a przełożonymi. Otwierają się serca, ujawniają swoje potrzeby i odkrywają swoje wady. Miłość pozwala przełożonym znosić trudy, natręctwa, niewdzięczność, przeszkadzanie, uchybienia, niedbalstwa chłopców. Jezus Chrystus nie złamał trzciny nadłamaney, ani nie zgasił tlejącego knotka. Oto wasz wzór. Wówczas nie zdarzy się już, żeby ktoś pracował dla próżnej chwały, by ktoś karał jedynie, aby pomścić obrażoną miłość własną, aby ktoś się uchylał od asystencji, bo zazdrośnie się obawia przewagi innych. Nikt nie będzie krytykował drugiego, chcąc wyłącznie dla siebie pozyskać miłość i szacunek chłopców, z pominięciem wszystkich innych przełożonych i zyskiwać w ten sposób tylko obłudne pochlebstwa i wzgardę; nikt nie da sobie opanować serca przywiązaniem tylko do jednego z chłopców i nie będzie pomijał wszystkich innych, aby tylko adorować jednego; nikt dla zaspokojenia własnych wygod nie zaniedba najściślejszego obowiązku czujności; nikt też dla próżnego względu ludzkiego nie powstrzyma się od upomnienia tego, kogo upomnieć należy. Jeżeli będzie panować prawdziwa miłość, nie będzie się szukało niczego innego, jak tylko chwały Bożej i zbawienia dusz. Natomiast jeśli miłość słabnie, wówczas sprawy nie postępują już dobrze. Dlaczego w miejsce miłości chce się zaprowadzić zimny regulamin? Dlaczego przełożeni uchylają się od przestrzegania tych zasad wychowawczych, jakie im wskazał Ksiądz Bosko? Dlaczego system zapobiegania nieporządkom przez czuwanie i serdeczność zastępuje się stopniowo mniej uciążliwym i łatwiejszym dla rozkazującego systemem wydawania praw, do których zachowania jeśli się zmusza karami, to rozpalają one tylko nienawiść i wywołują przykre skutki, a jeśli się nie pilnuje ich zachowania, to budzą pogardę dla przełożonych i są przyczyną poważnych wykroczeń?

Wszystko to jest koniecznym następstwem braku ducha rodzinnego. Jeśli się więc pragnie, żeby Oratorium wróciło do pierwotnej szczęśliwości, należy przywrócić

dawny system wychowania. Przełożony niech będzie wszystkim dla wszystkich, skory zawsze do wysłuchania jakiegokolwiek wątpliwości czy skargi chłopców. Niech z ojcowską troskliwością czuwa nad ich postępowaniem, całym sercem szuka dobra duchowego i doczesnego tych, których Opatrzność mu powierzyła. Wówczas serca nie będą więcej zamknięte i nie będzie więcej takich sekretów, które zabijają. Jedynie w przypadku niemoralności niech przełożeni będą nieubłagani. Lepiej będzie podjąć ryzyko usunięcia z domu kogoś niewinnego, aniżeli zatrzymać gorszyciela. Asystenci niech się poczuwają do najściślejszego obowiązku sumienia, by informować przełożonych o sprawach, o których w jakikolwiek sposób się dowiedzą, że są obrazą Bożą.

- A wtedy zapytałem: Jakiego szczególnego środka użyć, by zatriumfowały: taki duch rodzinny, taka miłość i zaufanie?

- Dokładne zachowywanie regulaminu domu.

- I nic więcej?

- Najlepszym daniem przy obiedzie jest przyjemny wyraz twarzy. Podczas gdy mój dawny wychowanek kończył mówić, a ja z wielką przykrością przyglądałem się tej rekreacji, zacząłem stopniowo odczuwać ogromne znużenie, które coraz bardziej się wzmagало i aż doszło do takiego punktu, że już nie mogąc dłużej wytrzymać, wzdrygnąłem się i przebudziłem. Stałem obok mego łóżka. Nogi miałem tak spuchnięte i obolałe, że wprost nie mogłem już dłużej ustać prosto. Było już bardzo późno, więc położyłem się na spoczynek z postanowieniem, żeby to wszystko opisać moim drogim synom.

Wolałbym nie mieć takich snów, gdyż bardzo mnie męczą. Nazajutrz byłem zupełnie wyczerpany i nie mogłem się doczekać godziny wieczornego spoczynku. Lecz oto, za ledwie się położyłem, rozpocząłem śnić na nowo. Widziałem przed sobą podwórze, chłopców, którzy są teraz w Oratorium i tego samego dawnego wychowanka. Zacząłem go pytać:

- To, co mi powiedziałeś przekażę moim salezjanom, ale co mam powiedzieć chłopcom z Oratorium?

Odpowiedział mi: - Niech uznają, że przełożeni, nauczyciele i asystenci trują się i poświęcają z miłości dla nich, gdyż tylko wzgląd na ich dobro każe im podejmować się tak wielkich poświęceń. Niech pamiętają, że pokora jest źródłem

wszelkiego pokoju. Niech umieją znosić wady drugich, gdyż na tym świecie nie ma doskonałości, lecz będzie ona naszym udziałem dopiero w niebie. Niech zaprzestaną szemrać, gdyż te wystudzają serca, a przede wszystkim niech się starają żyć w świętej łasce Bożej. Kto nie żyje w pokoju z Bogiem, ten nie żyje też w pokoju z samym sobą, ani z innymi.

- Więc powiadasz, że wśród moich chłopców są tacy, którzy nie żyją w pokoju z Bogiem?

- Tak, to jest pierwsza przyczyna złego nastroju, pierwsza z wielu, o których Książdz wie i musi im zaradzić, i nie ma potrzeby, abym teraz o nich mówił. Istotnie brakiem zaufania odznacza się tylko ten, kto kryje jakieś tajemnice i obawia się, żeby one nie wyszły na jaw, ponieważ wie, że to okryłoby go wstydem i popadłby w niełaskę. Równocześnie, jeśli serce nie ma pokoju z Bogiem, jest niespokojne, udęczone, krnąbrne; byle co je drażni, zdaje mu się, że wszystko idzie źle, a ponieważ nie ma w sobie miłości, sądzi, że i przełożeni go nie kochają.

- A przecież, mój drogi, nie widzisz, jak liczne są w Oratorium spowiedzi i Komunie św.?

- To prawda, że liczne są spowiedzi, lecz zasadniczym brakiem tylu chłopców, którzy się spowiadają jest niestałość w postanowieniach. Spowiadają się, lecz ciągle z tych samych uchybień, z tych samych niebezpiecznych okazji, z tych samych złych nawyków, nieposłuszeństwa, z tych samych zaniedbań w obowiązkach. I tak ciągnie się to miesiącami, a nawet latami i niejedni dochodzą w ten sposób aż do piątej klasy gimnazjalnej. Są to spowiedzi, które znaczą niewiele, albo zgoła nic, i stąd nie przynoszą spokoju, a gdyby w tym stanie ducha młodzieniec został powołany na sąd Boży, miałby ciężką przeprawę.

- A czy wielu jest takich w Oratorium?

- Niewielu, w porównaniu z dużą liczbą wychowanków znajdujących się w domu. Proszę zobaczyć. - I zaczął mi ich wyliczać.

Patrzyłem na każdego z tych chłopców z osobna. Lecz u tych niewielu ujrzałem rzeczy, które głęboko przygnębiły moje serce. Nie chcę o tym pisać, ale gdy powrócę, powiem każdemu to, co jego dotyczy. Teraz wam tylko powiem, że najwyższy czas, aby zacząć się modlić i powziąć mocne postanowienia, nie tylko w słowach, ale w czynach i wykazać, że Comollo, Dominik Savio, Besucco i Saccardi,



żyją nadal między nami.

Na koniec zapytałem jeszcze mojego przyjaciela:

- Czy masz mi coś więcej do powiedzenia?

Głoś wszystkim, dużym i małym, by pamiętali, że są dziećmi Najświętszej Maryi Panny Wspomożycielki, że Ona ich tu zgromadziła, aby ich uchronić od niebezpieczeństw tego świata, by się kochali jak bracia i aby oddawali cześć Bogu i Jej swoim dobrym postępowaniem. Mów, że to Ona, Matka Boża, stara się dla nich o chleb i środki do nauki, dzięki niezliczonym łaskom i cudom. Niech pamiętają, że zbliża się święto ich Matki niebieskiej i że z jej pomocą powinna runąć bariera nieufności, jaką szatan zdołał wznieść między chłopcami a przełożonymi i którą się posługuje na zgubę niejednej duszy.

- Czy jednak zdołamy obalić tę barierę?

- Z całą pewnością, byle tylko tak wielcy jak i mali byli gotowi znieść jakieś umartwienie z miłości do Maryi i zastosowali w życiu to, co powiedziałem.

Tymczasem ja przyglądałem się nadal swoim chłopcom i na widok tych, których widziałem na drodze do wiecznej zguby, uczułem taki ból serca, że się przebudziłem. Jeszcze wiele innych bardzo ważnych rzeczy, jakie widziałem, chciałbym wam opowiedzieć, lecz czas i względy stosowności nie pozwalają mi na to.

Kończę. Wiecie, czego pragnie od was ten biedny starzec, który całe swe życie sterał dla swych drogich chłopców? Nic innego, jak tylko, żeby znów we właściwym stopniu wróciły szczęśliwe dni dawnego Oratorium. Dni miłości i chrześcijańskiego zaufania między chłopcami i przełożonymi, dni uległości i wzajemnej wyrozumiałości jednych i drugich z miłości do Jezusa Chrystusa, dni otwarcia serc z całą szczerością i prostotą, dni miłości i prawdziwej radości dla wszystkich. Pragnę, abyście mnie pocieszyli, dając mi nadzieję i obietnicę, że uczynicie wszystko, czego pragnę dla dusz waszych. Wy nie zdajecie sobie dobrze sprawy, jak wielkim szczęściem jest dla was pobyt w Oratorium. Oświadczam wam wobec Boga: wystarczy, że jakiś chłopiec został przyjęty do domu salezjańskiego, aby Najświętsza Maryja Panna wzięła go zaraz pod swoją szczególną opiekę. - Zawrzyjmy zatem wszyscy przymierze. Miłość tych, co rozkazują i tych, co słuchają niech sprawi, by zakwitnął wśród nas duch św. Franciszka Salezego. O,

moi drodzy synowie! Zbliża się chwila, w której będę się musiał z wami rozstać i odejść do wieczności. (Uwaga sekretarza: Tu Ksiądz Bosko przerwał na chwilę dyktowanie, oczy zaszyły mu łzami, nie z powodu przykrości, lecz z powodu niewymownego wzruszenia, jakie przebijało z jego wzroku i z tonu głosu; po pewnej chwili ciągnął dalej). Pragnę zatem, o najdrożsi księża, klerycy i chłopcy, pozostawić was na tej drodze, na której sam Bóg chce was widzieć. - Z tą myślą Ojciec św., którego widziałem w piątek 9 maja, przesyła wam z całego serca swoje błogosławieństwo.

W uroczystość Maryi Wspomożycielki będę już razem z wami przed obrazem naszej ukochanej Matki. Chcę, by to wielkie święto było obchodzone z całą okazałością, a ks. Lazzero i ks. Marchisio niech się postarają, żeby nie brakło radości także w jadalni. Święto Maryi Wspomożycielki powinno być preludium do wiekuistego święta, jakie obchodzić będziemy zjednoczeni wszyscy razem, gdy pewnego dnia znajdziemy się w niebie.

Wasz przyjaciel w Jezusie Chrystusie

Ks. Jan Bosko

Rzym, 10 maja 1884

*(MB IT XVII, 107-114/ MB PL XVII, 67-73)*